Rozmaitości

Dnia 5. sierpnia **N^er. 31.** 1831 roku.

Emilia de Vergy.

Było po wieczerzy, a zebrane towarzystwo szło milcząc przez las ciemny, uroczysty; jedni nie wiedzieli może co mówić i już przez dzień cały wyczerpali się w pogadankach, drudzy nie lubili znowu natężać umysłu, ażeby żołądkowi zostawić nieograniczone prawo działalności, która tak potrzebną mu była; większa zaś część milczała, zapewne z owego uczucia uszanowania, jakiém piękna noc letnia napawa. Z cicha przechodzono przez grupy drzew pysznych i po cieniach, ciemno na trawie leśnéj spoczywających. »Ale dokądże idziemy przyjaciele?« zapytał się jeden z towarzystwa; »mamyż tak pięknie pomnożone siły na próżnéj trwonić włóczędze, lub może jest cel jaki naszéj wędrówki?... jeźli nie, po cóż darmo chrząszcze obudzamy ze snu?... Dokądże właściwie idziemy?« — »Do lasku sosnowego,« nastąpiła odpowiedź z ustek najdelikatniéjszéj figurki towarzystwa, tam tak okropno — przyjemnie!« Przytomni obrócili się ku osobie mówiącej i z podziwieniem ujrzeli małą, czteroletnią dziewczynkę, która wykradła się z domu. Mała zawstydzona śmiałością, że tak głośno przemówiła i przestraszona dziewiczym sposobem, że uczucie wewnętrzne odkryła, spuściła w dół oczy i zamilkła. Towarzystwo, nie uważając tego, zdawało się szanować jéj pomysł, a pojaw świętego przerażenia i przyjemne, a jednak pełne trwogi przeczucie tajemniczego, wszelako dość widocznego świata w słowach dziecka, ogółem wszystkich zajmowało. Postępowano więc ku laskowi sosnowemu; natura była milczącą; na dalekim tylko widnokręgu wietrzyk wieczorny zdawał się wierzchołkami lasów kołysać, i przynosił ciche echo żałośnego sów chóru, jednę z najpiękniejszych harmonij nocy dla tego, co słyszał takowę w tonach akordami upięknionych. Przybyto zatém do lasku sosnowego, gdzie cienie ponure mieszały się z łagodnemi pasmami świateł, które na węższéj drodze coraz rzadszemi się stawały. Z cicha odbrzmiewały kroki po trawie, dech tamowano w sobie; raptem wzdrygnęli się wszyscy, mnóstwo albowiem kruków, obudziwszy się z pierwszego snu, trwożliwie i ciężkim polotem krążyło po lesie, niegdyś bezpiecznym dla nich; po kilkakrotnie przesuwały się po powietrzu, ciemne ich skrzydła zaszumiały po nad samemi głowami burzycielów ich spokojności, a gdy takowi głośno mówić zaczęli, kruki tém spłoszone w poblizką gęstwinę uleciawszy, na najwyższym dębie usiadły.

»Mówią, że kruki są to duchy zmarłych,« odezwał się pewien stary jmć., trwożąc umyślnie, »nie boiszże się ich, piękna sąsiadko?«

Zagadniona młoda dama z lekka uderzyła go wachlarzem. »Nie mów wćpan o tém teraz« szepnęła.

»I owszem« zawołało razem kilka głosów, »proszę nam opowiedzieć jaką powiastkę o duchach; ale z własnego zdarzenia.« — »Mnie się nigdy nic podobnego

nię zdarzyło,« odpowiedział stary smutnym cokolwiek głosem. — »Nigdy? w samej istocie?« zapytała się dama. Stary milczał i przed siebie poglądał; mała dziewczynka bliżéj przystąpiła do niego. »Nigdy?« raz jeszcze zapytała się dama. Wstrząsnął głową, ale milczał ciągle. »Moim szanownym ciotkom i siostrom nie raz podobne zdarzały się przypadki,« odrzekł szydersko, chcąc na inny przedmiot uwagę słuchaczy skierować. — »O opowiadaj wćpan, opowiadaj!« zawołało kilka głosów. »Co mi właśnie na myśl przychodzi,« odezwał się stary, po małéj przerwie, »nie jest to wprawdzie żadną powiastką o duchach, ale« tu przestał mówić... »ale?« z ciekawością towarzystwo powtórzyło.. »ale może prawdziwe zdarzenie,« dodał; głos jego drżał i gdyby było więcéj światła w lesie, dostrzeżonoby bez wątpienia łzę w oczach starca. W krótce jednak upamiętał się i zaprosił wszystkich, ażeby usiedli. Usłuchano tego nadziei pełnego wezwania. Dziecko tuż przy nim usiadło, inni na trawniku zajęli miéjsca i cisza pełna oczekiwania nastąpiła. Starzec lewą posunął po czole, prawą położył na ramieniu dziecięcia i tak mówić zaczął:

»Miałem przyjaciela, który będąc małém dzieckiem jeszcze, odkryciem zbrodni stał się głośnym w ojczystém mieście swojém. Mowy przypadkowe dziecięcia stały się dla sędziów skazówką, któréj bez niego nie byliby nigdy doszli, a w tém wszystkiém to było rzeczą najosobliwszą, że dziecko nie wypaplało tego, co widziało, lub czego doświadczało, lecz, albo z przypadku, albo przez szczególny dar magnetyczny, to obrazowo opisywało, co w saméj istocie się stało. Czas długi zapatrywano się na tę powieść dziecka, jak na dziwo jakie i słowa jego aż do prawdziwego cudu powiększano; lecz gdy poźniéj toż dziecko było zwyczajném dziecięciem, a przynajmniéj nic cudownego w sobie nie miało, gdy nigdy więcéj podobna władza tajemnicza nie objawiła się w życiu jego, zaczęto powoli to uważać zwyczajném, co wprzódy wydawało się cudowném. Przy opowiadaniu historyi téj najzaciętsi nieprzyjaciele cudów ściskali ramionami nad zaślepieniem świata, nazywali to powiastką mamek i często biédne dziecko powołując, wypytywali je o rzecz całą, lecz ono po kilku latach zapomniawszy już prawie tę dawną historyją, zaledwo wiedziało, o czém mowa. Dawało więc takie odpowiedzi, jakie mu w usta włożone były i nie raz bawiąc niedowiarków niewiadomością swoją, powodowało ich do mówienia z uśmiechem: »Otóż cudowna historyja!«

»Dziecko wyrosło i zostało młodzieńcem, z którym znajomość na uniwersytecie zrobiłem. Przypadkiem słyszałem o historyi jego i raz o téjże wspomniałem. »Głupstwo i nic więcéj,« rzecze, śmiejąc się, do mnie. »Prawdziwie dosyć nanudzili mię tą w guście mamek powiastką!« — Jednakże faktum prawnicze...« rzekłem. — »Cóż ono dowodzi,« przerwał mi. »Nic, jak tylko, że przypadek odkrył to, co już tysiące razy piérwéj uczynił. Z całéj historyi téj nic sobie nie przypominam już więcéj, jak tylko owe niezliczone zapytania, które biédną głowę moję, jak w młynie, obracały. Musiałem ciągle powtarzać czego nie wiedziałem, o czém nie słyszałem nigdy, a co tak było mi obce, jak i tym, co mnie wypytywali. Przyznaję sam, że rzecz ta cała nie była niczém więcéj, jak tylko przypadkiem i proszę cię, nie mówmy więcéj o tém!« Jakoż nie wspominaliśmy odtąd o tém całém zdarzeniu. Sprawy familijne powołały go do Szwecyi, gdzie lat kilka przepędził i rozmaite porobił związki. Najdroższą była mu znajomość hrabi Oxenstierna, z którym zapoznał się przy mineralogicznych i botanicznych wycieczkach w góry. Hrabia żył samotnie w dobrach swoich i ani posiadanie znacznego majątku, który niedawno spadł na niego przez wygaśnienie jednéj linii pobocznéj, ani świetność historycznego nazwiska, nie mogła go ściągnąć do stolicy. Majątku swego wszelako sposobem szlachetnym używał; włościanie błogosławili go, a nie jedno badanie naukowe, nie jeden zakład publiczny, był przezeń wspiérany. Nadaremnémi były usiłowania przyjaciela mojego, powrócić hrabiego towarzystwu i interesom, przeciwnie zaprosił go tenże w pięknéj porze roku czas niejaki w dobrach jego przepędzić. Ja — chcę mówić raczéj

przyjaciel mój — przystał na wezwanie to.« Tu starzec zmieszał się cokolwiek. »Przyjaciel mój, przy powtórném widzeniu się z hrabią, zastał go w szczególniejszém poruszeniu. — »Zdaje mi się zawsze, jakoby gwałtowność temperamentu mojego wybawczą znajdowała kotwicę w spokojnym umyśle wćpana,« rzekł do zdumionego Teobalda, tak nieznajomego wćpanom nazywać będę. »Wćpan przybywasz z burz świata do portu spokojności, a jednak poruszonym nie jesteś, gdy tym czasem okręt, dawno już w łonie jego szukający schronienia, ciągle jeszcze chwije się na spienionych nurtach wybrzeża.« — »Kochany hrabio,« odrzekł Teobald, »nie zawsze jest dobrze szukać samotności; wrażenia wszystkie żywiéj i silniéj piętnują się w niéj; tam żyjemy w przeszłości, bałwany wydarzeń nowych nie unoszą jéj, a wewnętrzne uczucia nasze czas mniéj obfity w wypadki zwyciężają, gdy często pożyteczną jest rzeczą czasowi dać się pokonać.« Oxenstierna z przerażeniem nań pojrzał, jak gdyby przeląkł się wzrokiem, który tenże w głąb duszy jego zapuścił. »Pojedź wćpan ze mną,« rzecze daléj Teobald, »powróć do świata, którego unikasz, a choćby nie wiedzieć czego brakowało wćpanu, bez wątpienia lepiéj mu będzie. Jedźmy jutro obaj do Sztokholmu.« Uspokojony Oxenstierna spuścił oczy w zamyśleniu. W poruszeniu tém mniemał Teobald widzieć nakłanianie się hrabi i więcéj nalegającym się stawał. Hrabia pozwolił mu wygadać się, lecz gdy ten przestał i odpowiedzi oczekiwać się zdawał, rzecze hrabia: »Do Sztokholmu, prze — nigdy!« Teobald uczuł się być nieprzyjemnie dotkniętym, i zamilkł na chwilę, zniechęcony, iż wymowa jego na próżno użytą była. Postrzegł to hrabia i rzekł z nadzwyczajną uprzejmością: »Pójdź wćpan, pokażę mu ogrody moje, moje pola i wszystko, co porobiłem od czasu, jak wćp. bujasz w stolicy. Pokażę mu rysunki, zbiory moje, pójdź wćp.« Tak więc przyjaciela z jednego widoku do drugiego, z jednego miejsca w drugie prowadził, aż dopokąd tenże, wieczorem, zmordowany podróżą i rozmaitémi widzianémi przedmiotami, nie położył się do łóżka.

Teobald spał niespokojnie, jak się po utrudzeniu dziać zwykło i marzył wiele. Sennik powiada, że gdy kto pierwszy raz w miéjscu jakiém spi, należy sny pamiętać, gdyż takowe sprawdzają się często. Teobald obudził się z pełną głową, lecz niepodobna mu było przypomnieć sobie marzeń; przypominał sobie tylko kilka wyraźniéjszych punktów, które śród nocy świata marzycielskiego, jak gwiazdy błyszczały, ale były to oddzielne, nie powiązane razem przedmioty, przeto pisma ich nie mógł odczytać. Ze snu tego imię tylko pewnéj osoby spamiętał, o którém nie przypominał sobie, żeby je słyszał kiedy i żadnego nie łączył z niém pomysłu. »Rzecz dziwna!« mówił sam do siebie, »często wprawdzie snią nam się okolice, postacie, których nie widzieliśmy nigdy, często takowe po długim czasie marzą nam się powtórnie, a wtedy we śnie tylko istnących, jak dawnych przyjacioł witamy; ale marzyć o nazwisku, z którém żadne dawniéjsze nie wiąże się przypomnienie, marzyć o niém zawsze i zawsze, to rzecz szczególna! I cóż mi po imieniu? Nie wiém nawet w jakim sniło mi się względzie, i tylko nazwę *Emilia de Vergy* pamiętam. I czémże dla mnie ta Emilia de Vergy? Próżném brzmieniem! A jestże w istocie saméj imię to czém więcéj, jak tylko próżném brzmieniem? — Odkądże wyobraźnia moja zubożała, że nie tylko z literami się łączy, ale nawet nic nie zna, prócz liter?« To mówiąc, wstał z łóżka, a noga jego dotknęła się czegoś twardego. Był to mały, niepokaźny złoty pierścionek do ślubnéj obrączki podobny. Podniósł go z ziemi, by mu się lepiéj przypatrzyć i wewnątrz okręgu jego z przerażeniem wyraźnie nazwisko: *Emilia de Vergy* wyczytał. Trwoga, jakiéj dotąd nigdy jeszcze nie czuł, napełniła duszę jego; trzymał pierścionek przed sobą, lecz zamknął oczy, jak gdyby nie chciał widzieć pisma, wyrażonego na pierścionku, jak gdyby chciał wmówić w siebie, że go nigdy nie widział. »Czyś oszalał?« zapytał się po chwili, »żeś czytał to, czego tam nie było, co być nigdy nie może!« Pojrzał więc znowu na pierścionek i znowu wyraźnie wyczytał: *Emilia de Vergy*.

)(2

a delikatne litery pisma tego, pojrzały nań wzrokiem płomienistym. Czas długi stał jak wryty, nareszcie uczuł się być mężem i rzekł ze stałością: »wszakże jestem niewinny, cóż mi to wszystko szkodzić może?« Czarodziejski wyraz słowa tego upamiętał go; spokojnie pojrzał po pokoju, a ujrzawszy w nim to samo, co było dawniéj, przekonał się, że czuwa; ubrał się więc i postanowił, w stanie wzburzonym umysłu swojego, nic przódy nie mówić hrabiemu o tém nadwyczajnym wypadku, aż go piérwéj o imię Vergy wybada. Zatknął więc pierścień na paleć i poszedł do hrabiego. W ciągu rozmowy zapytał się go, czy nie znał jakiéj Emilii de Vergy? — »Co?... Co się z nią stało?« zawołał hrabia z podziwieniem. »Nic się nie stało,« odrzekł Teobald, pytam się tylko, czy ją wćp. znałeś.« Twarz hrabi zaczerwieniła się mocno. »Widziałem ją raz dawniéj w Sztokholmie« odpowiedział z lekka, «ładną była dziewczyną. Tyle ładnych jest dziewcząt, dla czegoż wćpan właśnie o tę się pytasz?« Teraz na Teobalda, koléj pomieszania przyszła; nie spodziéwał się, ażeby pytanie, tak tylko obojętnie uczynione, tyle hrabiego zastanawiać mogło. Nie przygotował się na odpowiedź, wszelako rzekł dosyć przytomnie: »Nie dawno pod adresą podobną przybył przez gońca poselskiego list z Niemiec; lecz gdy nie wiedziano o takiéj osobie, do mnie więc udano się, ale i mnie imię to znane nie było. Teraz przypadkiem wpadło mi na myśl i dla tego zapytałem się Może hrabia wié, gdzie ta de Vergy mieszka?« dodał tonem naj obojętniejszym. »Nie wiém,« odrzekł Oxen stierna ozięble i oddalił się pod udanym powodem.

Poufałość dwóch tych przyjaciół od sceny téj cios wielki poniosła. Hrabia był zimnym, mało-mówiącym i unikał wszelkiego poufnego zbliżenia się ze strony Teobalda. Nadaremnie tenże starał się i na dal na zaufanie jego zasługiwać, przyjacielski związek ich na zawsze rozerwany został. Czuł Teobald, że przytomność jegó była hrabi uciązliwą i myślał o wyjeździe. Oxenstierna nie zatrzymał go. Teobald raz jeszcze ze Sztokholmu list serdeczny pisał do hrabiego, nie wspominając wszakże o przedmiocie, który ich poróżnił, ale i ten list został bez odpowiedzi, a Teobald śród zatrudnień urzędowych w Sztokholmie zapomniał już prawie o przyjacielu, którego niedawno pozyskał, gdy po upływie roku z zapomnienia ocknęła go wieść, że Oxenstierna z podróży w strony północne Szwecyi nie powrócił, i że gdzieś bez śladu przepadł. Jak piorunem przeraziło to Teobalda, i na pierścień, o którym dawno już był zapomniał, pojrzał w ciemnych, nieodgadnionych domysłach. Ciężar tajemnicy pierścienia uciążliwie spoczywał na nim, jak gdyby sam tylko miał go dźwigać, nie mogąc nikomu udzielić. Czynił sobie wyrzuty, że zaniedbał jedynéj sposobności, nastręczającéj mu się do odkrycia, a głos jakiś potajemny mówił doń: »Może dłuższém wypytywaniem się byłbyś przeszkodził czemu?... Czémże jest człowiek taki, co nie słucha napomnień, które go do działań wzywają, postępuje sobie z niemi według upodobania, zagrzebuje je jak własność, a tajemnicy, jak winy, strzeże? Tajemnica jest nieszczęściem; kto wié czy otwarta mowa nie byłaby tu pomocniejszą?.. kto wié do czego to napomnienie było dane. Jawność jest najlepszą, ale teraz może już późnąby była «

Zamyślony zamknął pierścień do szkatułki i wyszedł. Zniknienie Oxenstierny było nowością dnia, a wieść ta co raz bardziéj potwierdzała się, nie dołączając jednak żadnéj nowéj poszlaki. Nareszcie inne wypadki zdarzenie to zatarły z pamięci, a co było nadzwyczajném, stawszy się dawném, mniéj już ciekawém zostało. W umyśle Teobalda wieść o zniknieniu hrabi dłużéj cokolwiek zatrzymała się, lecz i on z czasem zapomniał o niéj i był tego zdania, że hrabiego lub spotkał nieszczęśliwy przypadek jaki, podczas naukowych wycieczek jego w góry północne, lub że sam sobie, w melancholijnym obłędzie, życie odebrał. Rzecz niecofniona pojednywa nareszcie nas z sobą i odkładamy ją na bok, jak coś takiego, co już więcéj osnowy ani do działań, ani do nadziei nie podaje. Teraźniejszość obchodzi tylko, ale to, co już się stało, bynajmniéj nie zajmuje, mówi Göthe. Co ukończone,

uzupełnione, a zatém umarłe, powoli znika z pamięci, bo któż byłby w stanie żyć przyjemnie, gdyby zapomnienia nie było!

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości o Algierze.

Zimy nié ma tu wcale, miéjsce jéj dészcz gwałtowny zastępuje. Kiedy mieszkańcy Europy ziębną od strasznych mrozów, w Algiérze ciepło w tymże samym czasie często do dziesięciu stopni dochodzi.

Jeszcze przed przybyciem Francuzów były w Algiérze kawiarnie, mianowicie w budach perukarzy, lecz teraz, gdy Algiér przepełniony jest prawie synami Sekwany, słuszna więc, że i kawiarni przybyło. Francuz nie może obéjść się bez *Constitutionela* i bez kawiarni, więc jak tylko stopą na ziemi afrykańskiéj stanął, oba te rodzaje rozrywki przybyły za nim. Przy tém znalazło się wielu *charlatanów*, którzy kawiarnie w Algiérze brzmiącémi tytułami ozdobić umieli. I tak na domku, stojącym w najciemniejszym zakącie uliczki, czytamy: *Au soleil africain*; nad małą izdebką, ledwie dziesięć osób mieścić mogącą, znajduje się napis: *Au rendez-vous de l'armée d'Afrique* Od czasu rewolucyi francuzkiéj są kawiarnie pod godłami: *Café Lafayette*, *de la carte*, *des trois couleurs* i. t. p.

Wszystkie domy w Algiérze są podobne sobie; zawiérają cztéry podługowate pokoje z niezmiernie wielkiémi drzwiami, z tyłu od cztérech stron podwórza, i z tylą w górze wewnątrz galeryi. Domy majętniéjszych różnią się wielkością, pięknością słupów marmurowych, wytwornémi dywanami i poduszkami. Na dachu płaskim znajduje się terasa, po któréj piérwéj kobiéty tylko chodzić mogły, lecz teraz takowa jest miéjscem powszechném przechadzki; i często tu tylko szczęśliwym być można widzieć odsłonioną piękną sąsiadkę. Szczególnie w sobotę pokazują się Żydówki na terasach, bogato ustrojone, osypane złotem i drogiémi kamieniami, i tu nie jedno miéjsce rozdziału trzeciego Izajasza, daleko gruntownéj dałoby się skomentować, jak we wielu uczonych gabinetach Europy.

Na targu nie uyrzysz ładnych dziewcząt wiejskich, bo jedynie mężczyźni sprzedają. Czasem tylko czarna niewolnica, lub podstarzała markietanka nawinie się tobie przed oczy. Ale za to dostaniesz owoców najprzedniéjszych. Trzy pomarańcze kupić można za jeden *sou*; za ten sam pieniądz dostanie także nie mało fig, daktélów, granatów, oliwek i migdałów. Mléko przynoszą na targ w skórzanych worach, a drzewo, potrzebne do kuchni, sprowadzają na osłach i na funty ważą.

»Zaraz po mojém do Algiéru przybyciu (mówi podróżnik, z którego te wiadomości o Algiérze wyjęliśmy), zaproszony byłem na wieczór do p. Bakri, króla Żydów, który do wojny z Francyją głównym był powodem. Mieszka w jednym z najpiękniéjszych i największych domów Algiéru, obszerny, czworokątny, paradnémi, wyższą galeryją dzwigającémi słupami otoczony dziedziniec, mieścił mnóstwo żydowskich sług, czarnych niewolników i niewolnic. Co tylko wschód najkosztowniéjszego wydaje w materyjach, z tego wszystkiego w długich salach znajdują się poduszki i dywany, nawet ściany poboczne, najprzedniéjszym adamaszkiem obite. Gdym wszedł na dziedziniec, córka domu wyszła na przeciw mnie; powitałem ją zwyczajem arabskim, ale miasto odpowiedzi na powitanie moje, podała mi piękny bukiecik, zgrabnie z róż, hyjacyntów i goździków złożony i zapytała się z uśmiéchem, czy po arabsku mówię. Przyznałem się do wiadomości języka tego, i gdy mile za pachnące kwiatki dziękowałem, podała mi rękę, zaprowadziła do największego i najpiększego z pokojów i przedstawiła rodzicom. Ledwo słów kilka do matki jéj przemówiłem, gdy nie tylko głośno zaczęła śmiać się ze mnie, ale nawet żartowała sobie, żem nie mówił płynnie i nie dyjalektem algiérskim. Dałem jéj zręcznie do zrozumienia, czy miłoby jéj było, gdyby, podróżując po Europie, wyśmianą została, iż nie rozumié języków tamtéjszych. »Nie jeździłabym po takim kraju, którego języka nie rozumiałabym,« odrzekła. Cóż mogłem powiedzieć na to, musiałem milczeć.

P. Bakri, nawet pod terazniéjszym rządem, jest nieograniczonym samowładzcą Żydów algiérskich, których tu jest mnóstwo. Dowolnie nakłada podatki, sprzyjających mu rabinów mianuje sędziami, tudzież podług upodobania kary cielesne i pieniężne wydziela.

Kilku przytomnych oficérów prosiło pannę Bakri, ażeby tańczyła i nie długo dając się prosić, w pąsowych sandałkach bez żadnego porządku w tył i wprzód skakała. W jednéj ręce trzymała białą, w drugiéj kolorową chustkę i machała niemi na wszystkie strony. W ciągu tańcu wiérzchnią suknią, jak fartuszek, podniosła, a przytomni, z wielkiém zadziwieniem mojém, pieniądze weń wrzucali. Taki jest zwyczaj po największych domach Algiéru i każde *soiré* drogo trzeba opłacić.

Damom lepszego tonu wolno tańczyć w Algiérze, ale spiéwać przy gościach, byłoby to wykroczeniem przeciw przyzwoitości. Do tego zalotnice *(Scharmut)* używane bywają.

Dziewczyna 18letnia jest w Algiérze wielką osobliwością; najwięcéj idą za mąż w 14 lub 15tym, niektóre w dwunastym, a nawet w jedénastym roku. Widziałem nie dawno młodą 19letnią kobiétę, która już sześcioro dzieci miała. Pokazywano mi inną znowu, także młodą niewiastę, o któréj sądziłem, że miała 28 do 30 lat, ale ona miała dopiéro lat 25, jak mnie sama i 46letnia matka jéj zapewniała. Trzymała na ręku dziécię kilko miesięczne, i gdym ją pytał, czy to dziécię jéj było, odpowiedziała płacząc, że to jéj córki, która w połogu w dwunastym roku umarła. Powiedzieć kobiécie tutéjszéj grzeczność europejską, poczyta to za urażę i brak wychowania, lecz ten tylko zasługuje na względy kobiét w Algiérze, kto w oczy prawi im bezczelności i sposobem u nas obraźliwym powaby ich chwali.

Litewska dziewica morska.

Włościanie litewscy personifikują sobie powietrze morskie pod postacią panny, z chustką skrwawioną wręku; a zjawienie się jéj podług wiary gminu, zawsze choroby sprowadzało. O téj, nieszczęście przynoszącéj dziewicy jest dotąd balada, powieść następującą zawiérająca: »Dawno już temu, gdy dziewica morska pokazywała się w wioskach litewskich, a podług zwyczaju wystawiając rękę przez drzwi otwarte, lub okna, i powiewając zakrwawioną chustką, chorobę i śmierć po kraju całym roznosiła. Nieszczęśliwi mieszkańcy strzegli wprawdzie domów swoich od napadu dziewicy, ale często głód, lub inne potrzeby, zmuszały ich do zaniechania zwyczajnéj przezorności, a śmierć wtedy niezliczone porywała ofiary. W tém szlachcic i pan dziedziczny wioski jednéj, postanowił oswobodzić kraj od nieszczęścia tego, choćby nawet z poświęceniem własnego życia. Wziął pałasz, na którym były wyryte święte nazwiska *Jezus Maria* i stanął u okna domu swojego, tak oczekując dziewicy. Nie długo okropne to widmo dało czekać na siebie, powiewając chustką wystawiło rękę przez okno, a w tém czatujący nań bohatyr odciął mu rękę poświęconym orężem i skrwawioną chustkę uchwycił. Wspaniałomyślny ten musiał wprawdzie umrzéć z całem pokoleniem swojém, ale odtąd nic więcéj o dziewicy nie słyszano.« — Do dnia dzisiéjszego chustkę tę przechowują w kościele pewnego małego miasteczka Litwy. (Z dziénnika: *Der Aufmerksame.*)

Ludożercy na brzegach Sumatry.

Dokładne opisanie tych kanibałów znajduje się w dziele angielskiém: »Missyja na brzegi wschodnie Sumatry w roku 1823, przez Johna Anderson.« Tam czytamy:

»Otrzymałem pewne wiadomości o panującym tam obrzydłym zwyczaju ludożerstwa. Battowie są bardzo nie zgodnym i niespokojnym narodem, i ciągle wiodą wojny między sobą. Schabunder, krajowiec, który mię tam prowadził, dał okoliczność mówienia z pewnym z tych ludzi, którego mi mój przewodnik za jednego z najlepszych strzelców i ludożerców zalecił. Czyniłem mu w tym względzie niektóre pytania, na które on dokładnie i, ile się zdawało, z upo-

dobaniem odpowiadał. Zaręczał, iż mięso młodych mężczyzn jest słodkie, soczyste i smaczne, najprzyjemniejsze zaś, zapewniał jest mężczyzny, który co tylko siwieć poczyna. Powtórnie gdym się znajdował w kraju tych ludożerców, przekonałem się o prawdzie tego wszystkiego, co mi powiadano. Jeden z krajowców pokazywał mi kości dorosłych i dzieci, nie dawno pozjadanych. Nie chcieli wierzyć, gdym powiedział im, iż dotąd powątpiewałem o ich ludożerstwie, lecz mówili sami, iż i u nich ten zwyczaj coraz rzadszym się staje. Pożerają swych jeńców bardziéj ze złości, niż z braku pożywienia. Jednak rządzca z Janah-Jawy tak jest do téj potrawy przyzwyczajonym, iż gdy jakowyś czas bez ludzkiego mięsa obchodzić się musi, cierpi ciężkie bole w żołądku. Dla zadowolenia więc rządzcy, poddani wychodzą na łowy na swoich sąsiadów, tak jak u nas na słomki.» —

Szczęśliwy nieszczęśliwy.

Młody Richard miał lat dwadzieścia dwa, gdy kula działowa w bitwie, zaszłéj d. 19. kwietnia r. 1772 pod Lexington między Anglikami i Amerykanami, obie mu ręce oderwała. Nim nieszczęśliwy ochłonął z przestrachu, kula karabinowa przeleciała mu po przed same oczy. Został więc ślepym i najnieszczęśliwszym ze wszystkich ślepych, co ich dotąd było, bo nawet rękami kroku swojego kierować nie mógł. Młodość i dobre staranie szczęśliwie z ran go wyleczyły. Lecz ani sam jeść nie mógł, ani się napić, ani żadnéj zrobić sobie posługi. Rząd więc angielski wziął go do paradnego szpitalu w Chalsea i starał się zaradzić jego potrzebie. Wezwał wszystkie wdowy i panny, coby miały ochotę pójść za takiego inwalida, a chcąca podjąć się tego, miała dostać: *a.)* taką samę, jak on, pensyją, *b.)* bezpłatne wychowanie dzieci z nim spłodzonych, a nakoniec *c.)* 400 funt. szterl. w przypadku śmierci jego. Czyli tez znalazła się choć jedna, coby chciała męża bez ócz i rąk? — Co tam jedna, trzysta zgłosiło się kandydatek, a wszystkie dosyć jeszcze przystojne i młode. —

Królowa wysp sandwichskich u stołu.

Kotzebue (młody) w najnowszéj swéj podróży, ciekawy daje opis tej rzadkiéj kobiety. Mówi on między innémi: »Jedną razą przybyłem właśnie w obiadową porę i wprowadzono mię do sali jadalnéj Królowa leżała przed wielkiém zwierciadłem na dywanach i weżgłowiu, jak zwykle na brzuchu. W około niéj znajdowała się wielka ilość półmisków porcelanowych, z różnego rodzaju potrawami, a dwór cały był zatrudnionym to tę, to owę z tychże podawać jéj co chwila. Jadła bardzo łakomie, nieużywając żadnych narzędzi prócz palców, a dwóch chłopców strojnych, tymczasem wielkiémi wiązkami piór oganiało z niéj muchy. Przybycie moje bynajmniéj nie przeszkodziło apetytowi najj. pani. Pozdrowiła mię, nie mówiąc nic, usta bowiem zupełnie zapchane miała, i dała skinienie, bym usiadł w poblizkości. Byłem więc świadkiem najsławniéjszego obiadowania. Ile przed wejściem mojém zjadły jéj królewskie usta, nie mogę oznaczyć — w mojéj zaś obecności zjadła tyle, iż sześciu tęgich mężczyzn, tymże samym nasyciéby się mogło. Lecz ileż zdziwiłem się, gdy zdawała się już nasycona, a odetchnąwszy mocno, rzecze: »Smacanie jadła!« — Za pomocą sług kazała się więc przewrócić do góry brzuchem i dała skinienie oczekującemu rozkazów tęgiemu mężczyznie. Zdawał on się być bardzo uczonym w swém powołaniu, ruszywszy się bowiem żywo, tak zaczął rękami i kolanami tłuc ją po brzuchu, jak gdyby największe niecki ciasta misił. Byłato pomoc trawienia. Najj. pani wysapała się, kazała się powtórnie na brzuch obrócić i jadła na nowo. — Jakkolwiek przesadném zdaje się to opowiadanie, jest ono dosłownie prawdziwém, a wszyscy moi towarzysze mogą je poświadczyć. Królowa Nomahanna jest bezprzecznie największą osobliwością wyspy *Wanu*, dumną jest tak na swój nadzwyczajny apetyt, jak na swą otyłość, która największą jest ozdobą dam sandwichskich. U nas płeć piękna sznuruje się do uduszenia, a częstokroć nawet ocet pije, by pociągać nas smukłością kibici.« —

WIADOMOŚCI ROZMAITE.

— Ze Lwowa. —

(Nadesłane.)

W niedzielę dnia 10. lipca, zeszła z tego świata na cholerę nie odżałowanej straty zacna obywatelka, Franciszka z Bratkowskich Duniewiczowa. Urodzona ze znacznego domu staranne powzięła wychowanie od świetléj i utalentowanej swéj matki. — Zamężna i matka kilkorga dzieci, rozwinęła te szczytne i słodkie uczucia, te najpiękniejsze cnoty; co są chlubą dla nas samych, szczęściem i błogosławieństwem dla rodziny, a rozkoszą i podziwem dla przyjaciół i ziomków. Ze zdrowym rozumem i nauką, z rzadką tosamością humoru i łagodności, z gorejącém dla nieszczęśliwych sercem, a co więcej, z namiętném przywiązaniem do swoich obowiązków, Duniewiczowa przedstawiała nam te rzadkie zjawisko mądréj i ukształconej kobiéty, co lubo kryła niebiańskie swoje uczucia w ustronném zaciszu i w domowéj zagrodzie, zasłużyła jednak być wzorem dla innych, nazbyt warta, aby strapiona przyjaźń na ołtarzu prawdy, łącząc swą żałość do łez niepocieszonéj rodziny, publiczną jéj cześć i uwielbienie złożyła. — Jedna z rzadkich to Polek i obywatelek, co sama karmiła, uczyła i wychowała wszystkie swe dzieci; wyznam i te, wyznam z zachwyceniem, że jak najprzykładniejszą żoną, tak nieporównaną była matką! — Dom jéj statecznie był przytułkiem sierót i cierpiących, a nieszczęśliwi, ubodzy i poddani często ją widzieli z narażeniem zdrowia i życia czyniącą najgorliwsze dla nich ofiary. — Cześć prawdziwéj cnocie! cześć heroicznym i szczytnym uczuciom téj wybornéj i rzadkiéj obywatelki, któréj los pozazdrościł tylko dłuższego życia i właściwego jéj miejsca, aby była zaszczytem narodu, jak była zawsze miłością i podziwieniem obywatelstwa, żywym i cudownym wizerunkiem cnoty! — *B. S.*

Wielki los na teatr nad Wiednią wygrał bakałarz wyznania luterskiego, w małém miasteczku węgierskiém Aszod, 4 mile od Pesztu; 2,000 dukatów wygrały 3 osoby w Peszcie, a 1,800 dukatów ktoś w Waizen, koło Pesztu. Ciekawą jest rzeczą, że z największéj części loteryj austryjackich najwięcéj głównych losów wygrano w Węgrzech.

W Gazecie wiedeńskiéj z miesiąca lipca znajduje się następujące ogłoszenie, które dla większéj głośności tu umieszczamy: Pięćset czerw. złot. nagrody otrzyma ten, który wynajdzie lub doniesie, gdzie się znajdują zginione od 1811 r. siedm sznurków wielkich pereł, ważących każda po 4, 5, 6, 7 i 8 granów i dwie gruszki brylantowe, ważące 3 3/4 karatów. Donieść o tém w Wiedniu w mieście, pod Nro. 346. na 3. piętrze.

Przypomną sobie czytelnicy nasi, że Karol hr. Bridgewater, bogaty Anglik, który w roku 1829 umarł w Paryżu, wyznaczył nagrody 8,000 funt. sterl. za najlepszą rozprawę: o stworzeniu ziemi, o anatomii ciała ludzkiego, o sile budowie i własnościach ręki, i że król. akademiją londydską wyznaczył sędzią do przyznania téj nagrody autorowi najlepszéj rozprawy. (Obacz Nr. 27. Rozm. z d. 3. lipca 1829 r.) Ponieważ, podług jego woli, nie tylko uczeni z Anglii, lecz także z stałego lądu, powinni być przypuszczeni do współobiegania się o tę nagrodę, spodziewano się zatém wielkiego natłoku rozpraw. Nadzieja ta dotąd się jednak nie spełniła. Z pomiędzy ubiegających się wymieniają dotąd tylko professora Buckland z Oxfordu, pracującego nad jeologiczną częścią zadania. Rękę opisywali Karol Bell anatomicznie, a doktor Roget fizyjologicznie. Słychać, że ci panowie zgodzili się na to, aby nagrodę podzielić między sobą i innymi współubiegającymi się.

Angielscy lekarze przepowiedzieli w pismach swoich, wydanych przed kilką laty, kiedy cholera morbus jeszcze na wschodzie tylko panowała, zjawienie się jéj w Europie w latach 1830 i 1831. O tém przepowiedzeniu donosiły ówczesne londyńskie, a z nich i niemieckie gazety, lecz mało na to uważano, kiedy złe było od nas tak odległém.

— Z Konstantynopola. —

Pewien kominiarz tutejszéj dla siebie i dla czeladników swoich kazał porobić suknie z grzybów końskich, ażeby w czasie ognia bez własnego niebezpieczeństwa mógł być przy ratowaniu innych ludzi pomocnym. Suknie te mogą być bardzo prędko wdziane, a ponieważ każda z nich pojedynczo 50 funtów wody wciągać może, długo więc w sukniach tych gorącu ognia opierać się można.

— Z Rossyi. —

W Moskwie żyje tkacz, sypiający na materacu z własnych włosów. Miał zwyczaj ucięte włosy chować od młodości w worku. W pięćdziesiątym roku życia jego, zbiór ten doszedł do wagi 30 funtów i zrobił sobie materac z tych włosów, by na stare lata na płodzie głowy swojéj po trudach dziennych wypoczywać.

— Z Holandyi. —

Pewien rzemieślnik, niedaleko Haagi mieszkający, roku zeszłego wystawił sobie dom, na który już od lat 5 z żoną i dwojgiem dzieci swoich kamienie z różnych stron znosił. Familija ta z kądkolwiek powracała, zawsze kamienie w chustkach do domu znosiła i takowe zrzucała na kupę, na podwórzu lub w ogrodzie domu, w którym mieszkała. W latach pięciu zbiór kamieni tych do takiéj wzrósł wielkości, że można było z nich dom o dwu piętrach wystawić.

— Z Francyi. —

Popiersie marmurowe Rossiniego, we Florencyi przez Bartoliniego robione, nadesłane zostało do Paryża i wystawione jest u pana Troupenas, nakładnika muzykaliów. Równie jest podobnie, jak dobrze wypracowane.

W Lille przełożono teraz próbkę jedwabiu, wydanego przez robaki nie morwą, lecz liściami *Scorzonneli* żywione.

M o d y.

Modny kolor jest blado-niebieski na suknie damskie, zwany *Paganiniennc.* Używają bajaderek w kolorowych haftach.

Mężczyzni noszą nizkie kapelusze, pantalony białe pikowe lub w paski; takiego koloru krawaty najwięcéj są w modzie. Kolor fraków ciemno-stalowo-zielony; noszą żaboty przy półkoszulkach i kołnierzyki haftowane w drobne kwiatki.

Na promenadach w *Long-champs*, postrzegano damy paryzkie w kapeluszach z najdrobniejszych kolorowych pereł szklannych weneckich, które smakownem spojeniem bardzo piękny widok robią. Kapelusze z pereł mają tę przed innémi korzyść, że ciągle piękność i nowość zatrzymają, oraz są bardzo trwałe, lecz bogini mody trwałości nie lubi.

W Paryżu robią grzebienie, tak zwane perfumowe; u tych na wierzchu zrobiony jest otwór, który perfumami napełniony i sprężyną zamknięty, piękny i trwały zapach wydaje. Z téj przyczyny nie pomadują się już Paryżanki, lecz włosy swoje smarują na sucho maścią zwaną *Crême d'alibour*, po któréj takowe pięknie utrzymują się i rosną.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.